

UTRACONY DAR SŁONEJ KRWI

Alistair MacLeod

Premiera: 1 czerwca 2017

Wydawnictwo Wiatr od Morza

{ fragment 1 }

Po raz pierwszy zdałem sobie sprawę z istnienia łodzi w podobny sposób i mniej więcej w tym samym czasie, co z obecności ludzi, których utrzymywała. Na moje najwcześniejsze wspomnienie ojca składa się widok gigantycznych gumowych butów oglądanych z perspektywy podłogi, nagłe uczucie wznoszenia się, moja twarz wciśnięta w jego policzek pokryty kilkudniowym zarostem, i to, że smakował solą, i to, że cały nią pachniał, od czerwonych podeszew kaloszy po zmierzwioną biel włosów.

Kiedy byłem jeszcze bardzo mały, zabrał mnie na pierwszą przejażdżkę łodzią. Pół mili dzielące dom od nabrzeża przebyłem, siedząc na jego ramionach. Pamiętam odgłos gumiaków stąpających ciężko po żwirowej plaży oraz melodię nieprzyzwoitej piosenki, którą zwykł podśpiewywać; pamiętam woń soli.

Dno łodzi było przesiąknięte tym samym zapachem – pośród jego ciągłości nie zauważyłem nawet zmian, które zaszły. Zakręciliśmy swoje małe kółko po przystani i wróciliśmy. Ojciec przycumował łódź dziobem, na rufie uwiązał muring, po czym podniósł

mnie wysoko nad głowę i powierzył stałości nabrzeża. Następnie wspiał się po żelaznej drabince na ocep, znowu posadził mnie sobie na barkach i począł do domu.

Gdy wróciliśmy, wszyscy robili z mojej dziecięcej, przedwczesnej wyprawy wielką sprawę, pytając: „Podobało ci się na łodzi?“, „Bałeś się na łodzi?“, „Płakałeś na łodzi?“. Słowo „łódź” padało na końcu każdego z pytań, widziałem więc, że najwyraźniej ma dla nich wielkie znaczenie.

Najwcześniejsze wspomnienia związane z matką to poranki spędzane z nią samotnie w domu, kiedy ojciec był na morzu. Zdawała się nieustannie zszywać ubrania „porwane na łodzi”, przygotowywać prowiant „do zjedzenia na łodzi” lub wypatrywać „łodzi” przez kuchenne okno wychodzące na morze. Koło południa, gdy ojciec wracał do domu, pytała: „Jak tam dzisiaj poszło na łodzi?”. O ile dobrze pamiętam, pierwsze pytanie, które w życiu zadałem, brzmiało: „Jak tam dzisiaj poszło na łodzi?”.

„Jak tam dzisiaj poszło na łodzi?”

Tak istotna w naszym życiu łódź zarejestrowana była w Port Hawkesbury i należała do typu jednostek, które mieszkańcy Nowej Szkocji określają mianem „łodzi z Cape Island” – przeznaczonych dla drobnych rybaków przybrzeżnych, którzy pływają na wiosenne homary, letnie makrele i późniejsze dorsze, płamiaki czy morszczuki. Była długa na trzydzieści dwie stopy, szeroka na dziewięć, jej napęd stanowił silnik z ciężarówki Chevroleta z morskim sprzęgłem i szybkim wstecznym. Pomalowana była na jasnozielono, a nazwę – Jenny Lynn – miała wypisaną na dziobie czarnymi, naniesionymi z użyciem szablonu literami, a także wymalowaną ręcznie na podłużnej tabliczce przymocowanej do rufy. Jenny Lynn – tak nazywała się moja matka przed ślubem, a łódź została ochrzczona na jej cześć, jako kolejne ogniwo w łańcuchu naszej tradycji. Większość łodzi przycumowanych do nabrzeża nosiła imiona kobiet z domostw właścicieli.

Mówię to teraz tak, jakbym również wtedy wiedział to wszystko. Jak gdybym pojął to z miejsca, od razu posiadał całą wiedzę o wymiarach i silnikach łodzi, w dniu mojego pierwszego

dziecięcego rejsu dostrzegł różnicę między nazwą naniesioną od szablonu a wymalowaną ręcznie. Ma się rozumieć, wcale tak nie było, uczyłem się tego bowiem bardzo powoli, a czasu wciąż brakowało.

[...]

Pewnego sierpniowego dnia moje siostry namówiły ojca, żeby zabrał kilku klientów z restauracji na popołudniowy rejs łodzią. Turyści w szykownych ubraniach, wyposażeni w drogie aparaty fotograficzne i okulary przeciwsłoneczne, niezdarnie schodzili z krawędzi nabrzeża po żelaznych szczeblach, podczas gdy ojciec czekał na dole, jedną ręką dociągając rozbujaną Jenny Lynn do drabinki, a drugą pomagając pasażerom zachować równowagę. Próbowali sprawiać wrażenie wymuskanych i potarganych wiatrem jednocześnie, jak dziewczyny z reklam Pepsi; starali się jak mogli, siedząc na deskach wyłożonych gazetami mającymi przykryć plamy od krwi i rybich flaków, tłocząc się na burcie tak, że o mało nie przewrócili łodzi, robiąc nieodzwonne zdjęcia lub zaledwie muskając palcami wodę swoich snów.

Wszyscy bardzo polubili ojca, a kiedy, zrobiwszy parę kółek po przystani, odstawił ich na brzeg, zaprosili go do swoich wynajętych domków, stojących wysoko na wzgórzu ponad osadą, w której byli tak obcy. Wybrał się tam i bardzo mocno upił – z przepięknym widokiem, w nieznanym towarzystwie, opływając w alkohol – tak że późnym popołudniem zaczął śpiewać.

Szedłem akurat na nabrzeże, aby przekazać mu wezwanie matki, gdy znajomy, lecz zarazem obcy głos niosący się z domków wzbudził we mnie uczucie, którego nie zaznałem dotąd w moim młodym życiu – a może zawsze to czułem, nie zdając sobie z niego sprawy – byłem więc zawstydzony, lecz dumny, młody, lecz stary, wybawiony, lecz zgubiony na zawsze; nijak nie potrafiłem opanować nóg, które zdrząły, ani oczu, które zapłakały, nie wiedząc nad czym.

Turyści byli wyposażeni w magnetofony, ojciec prześpiewał więc ponad trzy godziny. Jego głos grzmiał na szczycie wzgórza

i odbijał się od taflí przystani, tego upalnego, sierpniowego dnia mieniającej się nieziemskim błękitem, a następnie niósł ku nabrzeżu i rybackim składzikom, gdzie chłonęli go mężczyźni zakładający przynętę na liny do zarzucenia nazajutrz.

Zaśpiewał wszystkie dawne szanty, które przyplłynęły ze Staro-
rego Świata, a przy których mężczyźni tacy jak on wybierali liny od wielu pokoleń; wyśpiewał morskie pieśni ze Wschodniego Wybrzeża, opiewające statki łowców fok z cieśniny Northumberland i łodzie trałujące liny haczykowe na ławicy Grand Banks, pod Bostonem czy na wodach wokół wysp Anticosti, Sable Island, Grand Manan, Nantucket i Block Island. Potem stopniowo przerzucił się na rozwlekłe pijackie przyśpiewki po gaelicku, mające po dwadzieścia i więcej zwrotek, nie licząc nieodzownych refrenów, a rybacy siedzący w szopach uśmiechali się na myśl o wulgarności niektórych fragmentów oraz o tym, że bezpośrednia publiczność śpiewaka nie zdaje sobie sprawy, co takiego nagradza aplauzem i rejestruje, aby powieźć na taśmie do starego, statecznego Bostonu. Później, gdy słońce chyliło się już ku zachodowi, przeszedł do elegii oraz dzikich, przejmujących pieśni wojennych, układanych przez jego nigdy niewidzianych, obryzanych krwią i błotem przodków ze szkockich wyżyn, tak że gdy skończył, zaciekleła melancholia trzech stuleci zdawała się wisieć nad spokojną przystanią, cichymi łodziami i mężczyznami opierającymi się o framugi w drzwiach swoich szop z papierosami tłącymi się w zapadającym zmroku; nad stojącymi w otwartych oknach kobietami wpatrującymi się w morze z dziećmi w ramionach.

Kiedy wrócił do domu, rzucił zarobione pieniądze na kuchenny stół, podobnie jak wszystkie swoje dochody, ale matka nawet ich nie tknęła. Następnego dnia poszedł z pozostałymi rybakami do szop na nabrzeżu, by zakładać przynętę na linę, którą miał trałować. Wieczorem turyści zapukali do drzwi, ale otworzyła im matka, która oznajmiła, że męża nie ma w domu, choć leżał na łóżku kilka kroków od niej, z papierosem w ustach i włączonym radiem. Stała w drzwiach, dopóki niechętnie nie odeszli.

Zimą przysłali mu zdjęcie, zrobione tamtego dnia, gdy śpiewał. Na odwrocie widniał napis: „Naszemu Ernestowi Hemingwayowi”. Słowo „Naszemu” było podkreślone. Razem ze zdjęciem przyszedł list, w którym pisali, że świetnie się u nas bawili, zapewniali, że taśma cieszy się wielką popularnością, a do tego wyjaśniali, kto to taki Ernest Hemingway. Na swój sposób zdjęcie faktycznie przywodziło na myśl jedną z tych nieogolonych, kubańskich fotografii Hemingwaya. Ojciec wydawał się masywny i zarazem niedorzecznie niepasujący do otoczenia. Jego obszerne rybackie ubrania były zbyt wielkie jak na biało-zielone składane krzeselko, na którym siedział, gumiaki zdawały się zajmować cały starannie przycięty, kwadratowy trawniczek. Plażowa parasolka klóciła się z jego ogorzałą twarzą, a ponieważ śpiewał już od jakiegoś czasu, jego wargi, spierzchnięte od wiosennych wiatrów i spieczone przez odbity od wody blask lata, zdążyły popękać w kilku miejscach, znacząc kąciaki ust i biel zębów drobnymi kropelkami krwi. Bransoletki z mosiężnego łańcuszka, które nosił, by zabezpieczyć nadgarstki przed otarciem, zdawały się nienaturalnie ogromne, jego szeroki skórzany pas wisiał luźno, a gruba koszula i podkoszulka, rozpięte pod szyją, odślaniały niepielęgnowany gąszcz białych włosów na piersi, graniczący z częściowo kontrolowanym zarostem pokrywającym szyję i brodę. Jego niebieskie oczy patrzyły wprost w obiektyw, a włosy były bielsze niż dwie drobne chmurki wiszące nad jego lewym ramieniem. Za plecami miał morze, którego przepastna, niebieska połać wyciągała się, by sięgnąć błękitnego łuku nieba. Ocean zdawał się bardzo odległy od ojca, a może to ojciec zajmował tak wiele miejsca na pierwszym planie, że sprawiał wrażenie zbyt potężnego dla oceanu.

Każdego roku następną spośród moich siostr zaczynała czytać książki i podejmowała pracę w restauracji. W gorące, letnie wieczory zdarzało im się wracać do domu całkiem późno, a gdy wchodziły po schodach, matka zadawała im wiele długich, zawitych pytań, których nie znosiły i starały się unikać. Przed pójściem na górę zachodziły do pokoju ojca, a ci z nas, którzy czekali na piętrze, słyszeli odgłos jego zrzuconych z krzesła ubrań lub skrzypienie

łóżka, jeśli postanowiły przycupnąć na krawędzi materaca. Czasami rozmawiały z nim długo; szmer ich głosów zlewał się z muzyką z radia w tajemniczy, podobny mgiełce dźwięk, wlatujący powoli na piętro.

Mówię to znowu tak, jakby wszystko wydarzyło się równocześnie, a moje siostry były w tym samym wieku i jak stado lemingów pomaszerowały ku nowemu morzu, lecz, ma się rozumieć, wcale tak nie było. Natomiast, owszem, ostatecznie wszystkie wyjechały – do Bostonu, do Montrealu, do Nowego Jorku – z poznanymi w letnie wieczory młodymi mężczyznami, za których później powychodziły w tych odległych miastach. Młodzieńcy, bardzo elokwentni i przystojni, ubierali się elegancko i jeździli drogimi samochodami, zaś moje siostry, jak już wspomniałem, były smukłe i piękne, miały włosy w barwie miedzi, a do tego były znużone cerowaniem skarpet i pieczeniem chleba.

Wyjeżdżały kolejno. Matka miała każdą z córek przez piętnaście lat, potem traciła ją na dwa lata, a wreszcie – na zawsze. Żadna nie wyszła za rybaka.



Wiatr od morza to...

*zapach kanadyjskich lasów
gwar angielskich portów
piaski Afryki
ostra woń chłodnego, arktycznego powietrza
okrzyki rybaków zarzucających sieci
smak soli w ustach*



...gdańskie wydawnictwo założone przez Michała Alenowicza,
miłośnika książek i tłumacza literatury anglojęzycznej.

Wyszukujemy dla Państwa wyjątkowe i wręcz magiczne książki – prawdziwe rytasy światowej literatury. Nieraz są to zapomniane i nigdy nie tłumaczone na język polski dzieła, nagradzane przed laty prestiżowymi nagrodami, innym razem niezwykle powieści wciąż nieodkrytych w Polsce pisarzy młodego pokolenia. Lubimy wyobrażać sobie, że sprowadzając je do Polski stajemy się niczym dawni gdańscy kupcy, zaopatrujący niegdyś kraj w egzotyczne przyprawy i drogie tkaniny. Niech i dziś z prastarego nadbałtyckiego portu płynie to, co dodaje życiu smaku – wyjątkowa, poruszająca wyobraźnię literatura na najwyższym poziomie.



fot. Magdalena Alenowicz

www.wiatrodmorza.com